

Nie liczę godzin i lat

Justyna Muszyńska-Szkodzik: To nie pierwszy pana koncert w Łódzkim Domu Kultury, chętnie wraca pan do swojego rodzinnego miasta?

Andrzej Rybiński: – Zawsze wracam do Łodzi z sentymentem, tu na Widzewie spędziłem dzieciństwo, wtedy wszystko wydawało się piękne, bezpieczne i na wyciągnięcie ręki. Mam tu rodzinę: siostrę, brata, wielu znajomych. Chodziłem tutaj do średniej szkoły muzycznej i zaczynałem grać wraz z Andrzejem Rutkowskim i kolegami w Domu Kultury Pocztowca (dzisiejsza Poczta Główna). Najpierw w latach 60. XX w. był zespół Piotrusie, a później Bumerang. To właśnie z ukochanej Łodzi wyjechałem w 1971 roku do Warszawy i na podbój świata.

Często gra pan dla publiczności 60+, która świetnie bawi się przy pana muzyce.

– Lubię występować dla ludzi z mojego pokolenia, bo mamy podobne doświadczenia, przeżycia, potrzeby emocjonalne. Nie czujemy się w ogóle starzy, uważam, że jesteśmy naprawdę młodzi duchem, a nawet wydaje mi się, że jesteśmy młodszy niż pokolenie moich wnuków, kiedy dojdzie do naszych lat. Staram się grać każdy koncert na maksymalnych obrotach. Dajemy z siebie wszystko, a jak my jesteśmy zadowoleni, to nie ma opcji, żebyśmy nie zarażali tą radością innych. I to było widać w Łódzkim Domu Kultury.

Nawiązuje pan świetny kontakt z publicznością...

– Podczas koncertu rozmawiam z publicznością, opowiadam anegdoty o piosenkach, aby w pełni oddać klimat tych utworów. Myślę, że ludzie potrzebują takiej rozmowy, są głodni opowieści, bo teraz się im za dużo każe, mówiąc np.: róbcie to, tamto, tego nie jedzcie, odchudzajcie się. Za dużo narzucania rygorów, a za mało życzliwego kontaktu, rozmowy, której wszyscy potrzebujemy.

„Pogoda jest dla bogaczy” (czyli „Pocieszanka”), „Nie liczę godzin i lat”, „Za każdą cenę” – pana piosenki się nie starzeją?

– Bez „Nie liczę godzin i lat” nie ma teraz żadnego koncertu. Te utwory są ponadczasowe. „Nie płacz maleńka szkoda łez, życie jest takie, jakie jest...” – czy to nie jest prawda? W moich piosenkach jest rzeczywistość, która nas wtedy otaczała, historie sprzed lat, a z upływem czasu chętnie wracamy do chwil z naszej młodości. Nową miarą popularności moich piosenek stał się też Internet, często przeklinany przez ludzi z moich roczników. Wszystkie moje piosenki są na YouYubie, a jedno z wykonan „Nie liczę godzin i lat” ma ponad 30 milionów odsłon, obserwuję, że każdego dnia jest po kilka tysięcy odtworzeń, więc ludzie nadal chcą tego słuchać.

Najbardziej znany był pana duet z Elizą Grochowicką - Andrzej i Eliza, teraz występuje pan z synem Kacprem. Z kim jeszcze pana zobaczymy?

– Nie udało mi się tylko duet z Paulem McCartney’em, chyba dlatego, że Paul miał koncert na Stadionie Narodowym w piątek, a ja akurat wtedy byłem zajęty [uśmiech]. Mam ochotę zrobić muzyczny projekt z moją rodziną: synem, synową i wnukami, którzy są bardzo uzdolnieni muzycznie i ruchowo. Marzy mi się, aby parę utworów duetu Andrzeja i Elizy zaśpiewali młodzi ludzie, ja mogę wystąpić tylko w roli obserwatora.

W piosence „Czas relaksu”, którą wykonywał pan z Ryszardem Rynkowskim i ś.p.

Zbyszkciem Wodeckimi, śpiewaliście, że receptą na szczęście może być ucieczka za miasto z ukochaną. Nadal pan tak myśli?

- Może nie jedyną. Ale w zagonionym, miejskim życiu, tak niewiele jest okazji do kontemplowania przyrody, że czasami fajnie jest uciec od zgiełku, położyć się na trawie i po prostu wyłączyć. Ja to praktykuję. Mieszkam na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej, gdzie wyprowadziliśmy się z Warszawy kilkanaście lat temu, i tam mam wszystko, czego potrzebuję do szczęścia: ukochaną żonę, syna, który z rodziną mieszka w pobliżu, dużo zwierzątek: teraz 5 psów i 2 koty, a bywało ich jeszcze więcej. Nie chce mi się nawet wyjeżdżać na wakacje, zresztą z takim zwierzyńcem byłoby to trudne. A po sąsiedzku, 400 metrów od domu zaczyna się dzika puszcza...

Czyli nie musi pan „liczyć godzin i lat”?

- Staram się nie liczyć, choć nieraz łapię się na tym, że przemijanie mi doskwiera. Ale czym tu się martwić? Zawsze mówię: przyjdzie czas, to czas nas podliczy, czy tego chcemy, czy nie. Stajemy przed lustrem i myślimy, że się nie zmieniamy, ale czas robi swoje, choć po koncertach fani zapewniają mnie, że jestem wciąż ten sam. Tak naprawdę mamy bardzo niewielki wpływ na to, co będzie dalej, czasami im więcej oczekujemy od życia i planujemy, to los potrafi być przewrotny i zwalić nam na głowę wiele nieszczęść. Teraz z pokorą podchodzę do tego, co mnie spotyka, pod warunkiem, by nie spotykało mnie zbyt wiele złego.

Komponował pan dla największych gwiazd polskiej estrady, dam polskiej sceny: Edyty Geppert, Zdzisławy Sośnickiej czy Alicji Majewskiej. Współpraca trwa nadal?

- Ciągle komponuję dla Edyty Geppert, bo Zdzisława Sośnicka przestała już śpiewać, a Alicja Majewska ma swojego Korcza. Napisałem dla Edyty Geppert ostatnio 3 utwory. To silna osobowość, idzie swoją drogą, ubiera moje kompozycje we własną wrażliwość, nadaje im pokłady wyjątkowej emocjonalności i one żyją swoim życiem.

Jest pan 48 lat na scenie, w tym czasie show biznes znacznie się zmienił. Jak czuje się pan wśród dzisiejszych artystów, często gwiazd jednego sezonu?

- Z nikim się nie ścigam, zresztą nikt mnie do wyścigów nie zaprasza, a i ja się nie garnę. Moje piosenki istnieją już tyle lat, więc nie są przebojami jednego sezonu. Cenię natomiast wielu wykonawców młodszego pokolenia: Katarzynę Nosowską, Kasię Kowalską, a także tych jeszcze młodszych: Dawida Podsiadło, Darię Zawiałow, Natalię Szroeder, Korteza czy Krzysztofa Zalewskiego i Sławka Uniatowskiego, który w tym roku w Opolu fenomenalnie wykonał utwór Zbigniewa Wodeckiego „Lubię wracać” - jak zamknąłem oczy, to miałem wrażenie, że słyszę samego Zbyszka.